Świat powieściowy.

Nr. 154 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

XVII.

Adwokat Freising, rad nie rad, musiał pogodzić się z losem przekornym, unosząc z powagą i godnością, do swojego kawalerskiego Tusculum, kosz piąty z rzędu! Chwilowo był tak zajęty czemś nader ważnem, iż zapomniał o wszystkich koszach i rekuzach, jakie kiedy w życiu całem odebrał.

Panna Hofer słusznie utrzymywała, iż Freising ma namiętność do pyłu aktów zapleśniałych. Nie tylko zajmywały go procesa chwili bieżącej, z najwyższą przyjemnością i gorliwością niezmordowaną poświęcał czas wolny na szperanie po bibliotekach, a nawet strychach, wertując zżółkłe pisma i dokumenta, o które zresztą nikt się nie troszczył.

Od dawna wyciągał dłoń pożądliwą do archiwów i biblioteki w Werdenfels, która uchodziła za najbogatszą w całej okolicy, cóż kiedy ordynat przesiedlając się do Felseneck, zabrał z sobą wszelkie książki i papiery. Wiemy zaś, iż Felseneck było niedostępne, nawet dla prawnego zastępcy barona. Nie widując wcale klienta, tem mniej mógł się dostać do jego archiwów familijnych.

W Werdenfels atoli stosunki się zmieniły. Rajmund przypuścił adwokata przed swoje oblicze, z czego ten skorzystał, aby wyrazić prośbę usilną, czyby nie mógł otrzymać pozwolenia do przejrzenia aktów sądowych, w Felseneck nagromadzonych? Ordynat przystał na to z wszelką gotowością, ofiarując najuprzejmiej Freisingowi cały zamek do dyspozycji. Skoro zatem potrafił znaleść sobie dni kilka wolnych od zajęć kancelaryjnych, pośpieszył do Felseneck z sercem bijącem, w radośnem upojeniu, jakby jechał na rendez-vous z ukochaną.

Zdobycz, którą tam pochwycił, przeszła najśmielsze jego oczekiwania. Werdenfelsy należeli nie tylko do rodów najstarożytniejszych, ale i do najbardziej kłótliwych i niespokojnych. Znalazł tam spory graniczne ciągnące się przez całe stulecia, procesy spadkowe niesłychanie zawikłane, skargi, repliki, orzeczenia sądów obywatelskich, jednem słowem: kopalnię niewyczerpaną aktów i papierów najrozmaitszych. Utonął cały w tych skarbach nieprzebranych, połykając z lubością pył starych pargaminów i przez myszy ponadgryzanych dokumentów. Opowiedziawszy się ordynatowi i nie chcąc nadużywać jego gościnności, co najciekawszego miał zabrać z sobą do domu, aby tam przewertować z całym spokojem.

Nadszedł ranek dnia, w którym adwokat odjechać z Felseneck postanowił. Pakował właśnie i obwijał akta, które wziąć z sobą zamierzał, gdy na progu zjawił się jego woźnica.

— Czego chcesz Anzelmie? — spytał zniecierpliwiony, iż mu przeszkadzają w tak ważnem zajęciu. — Wiesz przecie, że dopiero z południa wyjechać z tąd zamyślam!

— Jabym prosił wielmożnego pana, żebyśmy mogli zaraz jechać — wtrącił Anzelm nie śmiało. — Po obiedzie będzie bodaj zawierucha.

— Jeszcze czego nie stało! Pogoda cudowna i słońce świeci jak w lecie!

— Ba! ale Dziewica z lodu tak blisko, że choć ją w garść łapaj! Zeszle nam burzę na pewniaka!

— Co mnie obchodzi twoja Dziewica z lodu! — mruknął Freising gniewnie. — Mam jeszcze wiele papierów do porządkowania... nie uporam się z niemi przed pierwszą.

— To już lepiej do jutra rana zaczekajmy — Anzelm zaproponował.

— Być nie może! Mam na dziś wieczór pilny interes. Co tobie jest właściwie? Czemu nie chcesz jechać dziś popołudniu? Jaki w tem kaduk siedzi?

Anzelm miął czapkę zakłopotany w jednej ręce, a drugą skrobał się po za ucho.

— Bo to.. bo to... że dziś mamy jak raz świętego Ruprechta... a w tem dzień niebezpiecznie być w górach... o tem wie przecie i dziecko najmniejsze! Jeżelibyśmy dzisiaj dostali śnieżycę, może nas jak nic, capnąć Dziewica z lodu! Wielmożny pan zna przecież przypowiastkę: Że gdy Dziewica z lodu w dolinę zstępuje, to biada wtedy...

— Idź do djabła z temi banialukami!... — krzyknął adwokat zirytowany niesłychanie. — Domyślałem się czegoś podobnego! Wstydził byś się Anzelmie wierzyć takim głupim zabobonom! Wiesz co ja myślę o tym całym kramie! Na każdy sposób o pierwszej wyjedziemy i pogoda się nie zmieni. I ja znam się przecie na zmianach atmosferycznych!

— Dobrze by to wszystko było... ale święty Ruprecht i Dziewica z lodu, która nam prawie na kark wlazła!..

— A dajże mi raz pokój, gaduło! Punkt o pierwszej zajedziesz, abyśmy przed nocą do domu zdążyć mogli; gdyby nas zaś po drodze, czy twoja zaklęta Dziewica, czy święty Ruprecht zatrzymywać chcieli, odeszlę ich także do wszystkich djabłów!

Przy tych słowach wymachiwał adwokat tak energicznie wielkim aktów związanych rulonem, jakby chciał natychmiast spełnić czyn heroiczny. Woźnica zgorszony najokropniej bluźnierstwem nieledwie, wyzywającem lekkomyślnie do walki straszliwe gór potęgi, nie śmiał jednak dłużej opierać się pana swojego rozkazowi, zabrał się więc jak niepyszny, mało skóry z głowy nie zeskrobawszy z wielkiego frasunku. Adwokat pomrukując jeszcze czas jakiś o: „głupich, przeklętych zabobonach, zaciemniających ludu umysły!“ — wziął się nazad do pakowania aktów na pargaminie i papierze, z taką starannością i troskliwością, jakby szło o skarby nieocenione.

O godzinie wyznaczonej zajechały sanki przed bramę zamkową. Powietrze w rzeczy samej zmieniło się zupełnie w tych kilku godzinach. Słońce schowało się za szare i ciężkie chmury, wicher dął przeraźliwie, góry tonęły coraz bardziej w mgły gęstej wiszarach, tylko szczyt Dziewicy z lodu jaśniał dotąd, niby świecznik kryształowy, grozą przejmując trzęsącego się jak w febrze Anzelma. Konie parskając wesoło, żwawo pędziły po drodze utartej doskonale, tylko Anzelm z miną wielce zafrasowaną, raz po raz wzrokiem chmurnym badał równie zachmurzony widnokrąg. Co do adwokata, ten siedział najspokojniej w głębi sanek, w futro należycie okutany, od czasu do czasu rzucił okiem miłosnem na plik aktów, obok niego spoczywający, znajdując, iż pogoda jak dotąd jest całkiem przyzwoitą.

Podróż trwała już z godzinę i właśnie znajdowali się na gór pochyłości, wśród puszczy leśnej, a cisza w koło panująca zdradzała, iż niemal w promieniu milowym, nie masz w koło żadnej ludzkiej osady, gdy śniegiem pruszyć zaczęło zrazu nieznacznie, co nie mniej jednak podrzuciło Anzelmem na koziołku, niby stos galwaniczny. Odwrócił się do Freisinga z miną pogrzebową i rzekł głosem ponurym:

— Oho! Już się zaczyna!

Adwokat chciał mu wyperswadować, że to wicher otrząsa szron z drzew gałęzi, wkrótce atoli śnieg tak gwałtownie całemi płatami sypał i sypał, że wreszcie zmiękł upór Freisinga i sam przyznać musiał, że:

— Pogoda nie tak piękna, jak się rano zanosiło!

— Pojeżdżaj! pojeżdżaj Anzelmie! — zawołał po chwili trochę zaniepokojony. — Powietrze zdaje się być bardzo niepewne, a jeżeli zmierzchać się zacznie, zanim się z tych gór wydobędziemy...

— To nam kark skręci najniezawodniej Dziewica z lodu! — Anzelm westchnął żałośnie. — Nie daremnie dzisiaj świętego Ruprechta!

— A już mi tego za wiele! — krzyknął Freising rozjuszony. — Radbym cię istotnie wysłać razem z twoim świętym, na sam szczyt tej sławnej Dziewicy z lodu! Tam miejsce najstosowniejsze dla takich głupich mózgownic, w których dziewice zaklęte i inne tym podobne bzdurstwa pokutują! Ludziom rozumnym, pewno twoja Dziewica w drogę nie wejdzie i nie życzyłbym jej zresztą zawierać ze mną znajomości.

Anzelm tak się przeraził nowem bluźnierstwem, iż uczuł potrzebę przeżegnać się potrójnie, przyczem lejce z dłoni drżących wypuścił. W tej chwili wicher strącił z sosny najbliższej płat śniegu olbrzymi, konie młode i pierzchliwe w bok nagle skoczyły, sanki uderzyły o skałę w szerz drogi sterczącą, odezwał się trzask głuchy, konie popędziły galopem z dyszlem ułamanym, sanki zaś, woźnica i pan jego, leżeli na śniegu malowniczo ugrupowani.

Anzelm pierwszy dźwignął się w górę, mrucząc i postękując:

— Otóż to skutki takich żartów bezbożnych! A wielmożny pan czy żyje tam jeszcze?...

Adwokat żył na szczęście i nawet przytomności nie utracił, gdyż pierwszym jego pytaniem było:

— A moje akta! Moje papiery, gdzie się podziały?...

— Tam w dole leżą na pewniaka! — odezwał się z flegmą Anzelm. — Dziękować Panu Bogu, że choć my na drodze zostali.

Sanki wypadkiem niepojętym uwolniły się od ciężaru w dwóch przeciwnych kierunkach. Ludzie wypadli na prawo, papiery, w siny papier od cukru owinięte i szpagatem starannie związane, stoczyły się w przepaść na lewo prawdopodobnie, skoro pakietu nigdzie na śniegu nie było można odszukać.

Freising spróbował również stanąć na nogi, wcale mu się to jednak nie udawało. Nie poniósł wprawdzie znacznego uszkodzenia, tak przecież boleśnie nogę jedną w kostce wykręcił z sanek wypadając, iż nawet krokiem nie mógł postąpić, co o wiele pogarszało położenie i tak wielce nieprzyjemne.

Konie dały się wkrótce złapać Anzelmowi, zaczepiwszy po drodze o drzew zwalonych konary, sanki jednak znajdowały się w stanie tak opłakanym, rozbite na dwie połowy, iż o dalszej jeździe mowy być nie mogło.

Anzelm ręce łamał nad sankami i głośno narzekał, nie zbudziwszy tem jednak współczucia u pana swojego.

— Co mnie sanki obchodzą!—jęczał adwokat zrozpaczony! — Moje dokumenta! moje papiery muszę dostać napowrót. Nie mogły spaść bardzo głęboko... zejdź Anzelmie i poszukaj. Pewnie leżą gdzieś między krzakami jałowcu.

— Za nic w świecie! — oświadczył sługus kategorycznie. — Po takiem nieszczęściu leźć tam w dół na złamanie karku, i to w dzień świętego Ruprechta! Żeby mi wielmożny pan dawał tysiące, to tego nie zrobię.

Freising prosił i groził naprzemian, wszystko na-

daremnie. Byłby spróbował z narażeniem życia własnego, wydobyć z przepaści papiery drogocenne, ale nie mógł ruszyć się z miejsca, a noga coraz gorzej puchła i bolała. Zdawało się istotnie, iż popadł w moc potęg nadprzyrodzonych a złośliwych, które chciały pomścić na nim brak wiary zabobonnej i żarty nie wczesne.

— Cóż zatem poczniemy? — westchnął ciężko.

— Coś zrobić musimy! — Anzelm pokiwał głową miłosiernie. — Nie damy się przecież żywcem w śniegu pogrzebać! To najgorsze, że wielmożny pan iść nie może. Może bym pana wsadził jako na jednego z koni, a idąc piechotą, prowadziłbym oba konie do najbliższej chaty, gdzieby nam pomocy udzielono.

— Na żaden sposób! — Freising zaprotestował. — Chcesz, żeby te dzikie bestje ze mną tak uciekły, jak z dyszlem złamanym? Nie tęgi ze mnie jeździec wogóle, a do tego z nogą bolącą, i tyle bym sobie rady nie dał.

Woźnica spróbował jednak rodzaj siodła zaimprowizować, konie atoli, jak jeden tak drugi, niecierpliwie grzebały śnieg kopytami, uszami strzygąc, i tak dobitnie okazując swoje niezadowolenie, iż trzeba było zamiaru zaniechać.

Zgodzili się wreszcie na to, że Anzelm pojedzie z końmi do wsi najbliższej, która niestety była o dobre pół mili oddaloną, tam zarekwiruje od jakiego wieśniaka załubnie i przybędzie po pana swojego. Sparty na ramieniu woźnicy, biedny adwokat zrobił kroków kilka okropnie jęcząc i na nogę upadając, aby przynajmniej usiąść na skały odłamie, która mogła go cokolwiek przed śniegiem i wichrem zasłonić. Otuliwszy chorą nogę kocami z sanek, woźnica do wsi z końmi pokłusował.

Został więc Freising nieszczęśliwy wśród puszczy leśnej, wśród burzy i śnieżnej zawiei, taki samotny, tak opuszczony! Im dłużej czekał, tem większy ciężar serce jego tłoczył, tem straszniejsze przeczucia umysł gnębiły. Nuż Anzelm nie wróci, nuż śnieg drogę uczyni niemożliwą do przejechania, wtedy zginie marnie pod śniegu całunem, i dopiero na wiosnę odnajdą martwe zwłoki jego, a może tylko resztki kości pozbierają, których wilki i lisy niedogryzą!

Burza nieustawała, śnieg sypał dalej, mgła coraz wyżej się podnosiła, ciemno robiło się w około, tylko szczyt złowrogi „Dziewicy z lodu“ świecił wśród pomroku, jakby spoglądał z góry, naigrawając się z ofiary złości swojej. I w duszy Freisinga było coraz ciemniej, coraz smutniej.

Tak więc miał się zakończyć jego żywot kawalerski, nie ożywiony dotąd i nie ogrzany ani jednym promieniem słońca miłości, któremu świeciło wiecznie tylko blade światło księżycowe, zimnego szacunku i biernej przyjaźni! Zstąpi więc przedwcześnie do grobu, obciążony li pięcioma koszami, i nikt po nim nawet nie zapłacze! Pocieszał się jedynie myślą, iż w rzeczy samej miał mir u ludzi, i potrafił zyskać ogólny szacunek. Śmierć jego wywrze niezawodnie wrażenie potężne, a dzienniki krajowe ogłoszą unisono:

„Spełniamy smutną powinność, udzielając naszym czytelnikom wieść straszliwą, iż zaskoczony śnieżną zawieją na drodze z zamku Felseneck, do miasteczka P., znalazł śmierć nieodżałowanej pamięci adwokat Freising, prawnik doskonały, człowiek niepospolitych zdolności, uczciwości nieposzlakowanej, którego stratę odczuje głęboko cała okolica. Z nim jednocześnie przepadły nader ważne i drogocenne dokumenta, stanowiące część archiwów starożytnego rodu Werdenfelsów!“

Boleść niewypowiedziana ścisnęła za serce biednego Freisinga, na wspomnienie skarbu utraconego. Wyciągnął ramiona do Dziewicy z lodu, której szczyt znowu na chwilę z chmur się wyłonił i głośno zawołał:

— Ty! ty! potworze z lodu! Oddaj mi moje dokumenta! a ja... ja... gotów jestem na prawdę uwierzyć w twoją siłę nadprzyrodzoną!

Dziewica z lodu (musimy oddać jej sprawiedliwość) decydowała się szybko, tak w złem jak w dobrem. Zaledwie słowa te adwokat wypowiedział, odezwały się dzwonki brzękiem wesołym i to nader blisko. Gdyby Freising nie był zajął się przed chwilą tak wyłącznie redagowaniem w myśli własnego nekrologu, byłby może wcześniej dźwięk ten usłyszał. Za chwilę sanki pojawiły się na drogi zakręcie, zdążając szybko do miejsca smutnej katastrofy.

Woźnica na koźle, starzec siwowłosy, utonął cały w ogromnym kołnierzu futrzanym, zaledwie koniec nosa z niego wystawiając; dama jednak w głębi sanek siedząca, zdawała się wyzywać śmiało do walki żywioły wzburzone, z twarzą odsłoniętą patrzyła wesoło na płaty śniegu, jakby jej wcale złe powietrze nie dokuczało. Nagle krzyknęła zdziwiona i woźnicę za ramię przytrzymała:

— Przez miłosierdzie Boże! A pan co tu robisz na środku drogi w taką zawieruchę?!

Adwokat nieszczęśliwy wyglądał w rzeczy samej nadzwyczaj oryginalnie. Owinięty przez Anzelma w futra i dery, niby niemowlę w pierzynkę, miał minę zapalonego naturalisty, który mimo burzy śledzi najspokojniej zjawiska atmosferyczne; śnieg zaś tymczasem tak grubą warstwą go przykrył, iż podobniejszym był bardziej do śnieżnego bałwana niż do człowieka żyjącego.

— Panna Hofer! — zawołał uradowany. — Dzięki niebu, iż znowu widzę ludzką istotę! Byłem pewny, iż mi przyjdzie zginąć marnie w tej puszczy leśnej!

— Cóż się to stało? Podnieś że się pan przynajmniej!

— Nie mogę... jestem zaklęty!

— Co pan jesteś?!

— Zaklętym!... to jest, właściwie... nogę sobie w kostce wykręciłem — poprawił się mecenas, uważając z nielada przerażeniem, iż i on już niejako zaczyna hołdować przesądom zabobonnym. Następnie opowiedział jak mógł najzwięźlej wypadek niefortunny, do którego za komentarz i ponurą illustrację służyły sanki rozbite.

Panna Hofer, która właśnie wracała do Rosenberg z leśniczówki, wysiadła z sanek tymczasem. Przejęta miłosierdziem chrześcijańskiem, nie myślała mścić się nad pokonanym przeciwnikiem w chwili tak krytycznej, wyrzucając mu brak wiary i żarty bezbożne, któremi drażnił ją tak często. Ofiarowała mu wspaniałomyślnie miejsce obok siebie, chcąc zawrócić nazad do leśniczówki, gdzie o wiele prędzej mógł znaleść dla swojej nogi bolącej opatrzenie.

— O jedną tylko łaskę błagam! — rzekł adwokat żałośliwie, z trudnością dźwigając się w górę. — Pomóż mi pani zrobić kroków kilka, ot tam, nad brzeg parowu.

Emmie wydała się prośba wielce dziwaczną, nie wahała się jednak z tejże wysłuchaniem, przeprowadzając Freisinga na drugą stronę drogi, gdzie stanąwszy, sparł się o kamień przydrożny i spojrzał w otchłań bezdenną.

— Tam! tam leżą!... — szepnął tonem zagrobowym.

— Matko Boska! — panna Hofer krzyknęła przeraźliwie. — Któż taki?! Jacyś ludzie?!

— Nie... dokumenta! Widzę dokładnie papier niebieski na białym śniegu!

— No! to niechże sobie tam leżą szczęśliwie! Nie możemy przecież w tak przykrem położeniu, zajmywać się zapleśniałemi, nudnemi prawnemi aktami!

— Nudnemi! — adwokat zaprotestował zgorszony. — To rzeczy wartości nieocenionej! najciekawsze autentyki z archiwum baronów Werdenfelsów! Spór graniczny naprzykład, ciągnący się od roku tysiąc sześćset ośmdziesiątego ósmego, aż do roku tysiąc siedmset dziesiątego; albo proces spadkowy...

— Także w wieku siedemnastym?

— Nie!... na początku naszego stulecia... Werdenfels contra Werdenfels; linja młodsza przeciw starszej... proces niesłychanie interesujący, w którym zaszło nawet zfałszowanie jednego dokumentu! I to wszystko leży w śniegu pogrzebane! Nie długo przemoknie, zniszczeje, będzie na wieki straconem! Nie mógł by pani woźnica pakiet wynieść na drogę? Hojnie bym go za to wynagrodził!

— Nie! — Panna Hofer stanowczo odrzuciła. — Ma przeszło lat siedmdziesiąt, i tylko do najlżejszego zajęcia używają go jeszcze moi rodzice. Czy panu w istocie tak wiele zależy na tych antykach zapleśniałych?

— Pół życia bym za nie ofiarował! — wykrzyknął Freising patetycznie, patrząc w dół z boleścią.

— No! to wreszcie... ja panu pakiet przyniosę.

— Na miły Bóg! Przecież pani nie zechce!...

— Zejść w parów? Właśnie że to uczynię! W górach wychowałam się i wyrosłam, potrafię jeszcze wydrapać się i po najbardziej stromej pochyłości. Gdzież to leży? Aha! już widzę!...

— Ależ nigdy na to nie pozwolę! Rzecz niebezpieczna... mój Anzelm nie chciał się podjąć, mimo groźb i obietnic z mojej strony najświetniejszych!... A do tego w dzień świętego Ruprechta!...

Emma śmiechem wybuchnęła.

— Jakto panie Freising, i ty nagle stałeś się wierzącym? Czyż taki jak pan filozof, troszczyć się powinien o dzień świętego Ruprechta? To przecież stoi tylko zapisane w naszym kodeksie istot ograniczonych i zabobonnych! Uspokój się pan jednak. Ja żyję w zgodzie ze wszystkimi świętymi i Ruprecht zatem nic mi złego nie zrobi!

Była to w rzeczy samej wycieczka dość niebezpieczna, do której potrzebny był chód pewny, i głowa nie cierpiąca zawrotu, na widok otchłani u stóp otwartej. Te przymioty właśnie posiadała w wysokim stopniu panna Hofer, i na szczęście śnieg nie leżał tu jeszcze zbyt wysoko, a kłody drzewa, korzenie wystające z pod śniegu, i krzaki jałowcu, służyły jej za punkt oparcia, co też umiała zręcznie wyzyskiwać. Sunąc się w głąb na rękach i nogach, dotarła do skarbu drogocennego, i nim objuczona, wracała napowrót. Powrót był o wiele trudniejszym, gdyż pakiet był ciężki, i jedną rękę ubezwładniał. Odważna góralka i tę sztukę szczęśliwie dokazała. Wytknęła wreszcie głowę ponad poziom drogi, cała w potach i bez tchu prawie, a podnosząc w górę papiery tryumfująco:

— Oto historja z roku tysiąc sześćset ośmdziesiątego ośmego, wraz z dokumentem sfałszowanym! — zawołała, ciskając pakiet w sanki, poczem i sama na wierzch się wygramoliła.

Mecenas wolnej odetchnął. Do trwogi, przejmującej go na widok śmiałej wędrówki, przyplątało się uczucie o wiele przyjemniejsze. Widział w tej ofiarności potwierdzenie słów Lily. Dla obcego, i do tego przeciwnika, czyż by się kto tak poświęcał? Bez wątpienia, mała figlarka dobrze zauważyła, a to przekonanie tak wzruszyło Freisinga, iż niemal z czułością wyciągnął ramiona, z wykrzyknikiem pełnym zapału:

— Za ten czyn będę pani wdzięcznym do skonu!

Emma śmiejąc się nie przyjęła rąk, ku pomocy, (jak sądziła), wyciągniętych.

— Dziękuję panu, potrafię wydrapać się sama. Myśl pan o swojej nodze bolącej! A co do wdzięczności pańskiej, tak zapalczywej, to doprawdy nadto wiele za przysługę tak bagatelną!

Freising bynajmniej zdania tego nie podzielił. U nóg jego leżały dokumenta najciekawsze!... Werdenfels contra Werdenfels! Myślał i o tem, iż przed kwadransem układał już swój nekrolog, i gotował się, objuczony pięcioma koszami, wędrować w stanie kawalerskim na łono Abrahama!... Tak go to wszystko do głębi przejęło, iż rysy zwykle zimne i sztywne jak ćwiartka pargaminu, przybrały niemal wyraz jakiegoś tkliwego rozmarzenia. W takim też tonie przemówił po chwili milczenia:

— O! dobroć pani anielska, godzi mnie z ludźmi i życiem!

Panna Hofer, odnosząc naturalnie frazes górnolotny do aktów z przepaści wydobytych, znalazła go wielce przesadzonym, i z niechęcią głową potrząsła.

— Wiesz pan, jak go cenię wysoko, i jak wielki mam dla niego szacunek, ta jednak pańska manja do starych dokumentów...

— Przez miłosierdzie Boże! — przerwał jej Freising gwałtownie. — Wszystko inne, tylko nie szacunek!

— Ależ panie mecenasie! — zaprotestowała Emma zdziwiona i zaniepokojona szacunko-wstrętem Freisinga.

— Przebacz pani!... Jest to może dziwactwem z mojej strony... nie mogę jednak tych słów znosić: cześć, szacunek!... są mi nieznośne! antypatyczne! Proszę mnię raczej nienawidzieć, tylko nie mieć dla mnie czci i szacunku! To mi się już uszami przelewa!

Wyznanie brzmiało tak dziko, iż mogło wzniecić podejrzenie uzasadnionie, że przy wypadku nieszczęśliwym z sankami, nie tylko nogi, ale również i głowa adwokata mocno szwankowała. Emma wiedziała atoli, dzięki popełnionej przez Lily niedyskrecji, jak rzeczy stoją z owym szacunkiem nieszczęśliwym, i zkąd pochodzi wstręt nieprzezwyciężony do tego wyrazu. Tego atoli bynajmniej się niedomyślała, jaką intrygę uknuła ta mała psotnica na własną rękę, i w jaką sieć ją samą swawolnie uwikłała. Nie przeczuwała, iż jej litość i współczucie bezinteresowne, będą zupełnie inaczej wytłumaczone. Najspokojniej zapakowała najprzód pakiet z aktami w sanki, następnie pomogła usiąść Freisingowi, raźno sama wskoczyła do środka, rozkazując wreszcie woźnicy, aby co konie wyskoczą, wracał nazad do leśniczówki.

Freising potulny jak baranek, dawał wszystko robić ze sobą, tylko na samem odjezdnem rzucił jeszcze okiem niespokojnem na szczyt „Dziewicy z lodu“, na tego „Potwora białego“, który, o ile się zdawało, przyjął i natychmiast wysłuchał *votum* w chwili zwątpienia i rozpaczy uczynione. Czyż odtąd będzie istotnie zmuszony wierzyć w podobne gusła i banialuki?

W kwadrans później, zajechały na miejsce wypadku chłopskie załubnie z Anzelmem i parobkiem gospodarza, od którego sani pożyczył. Jakże się obydwaj zdziwili i wygapili, gdy nikogo na miejscu nie zastali. Szczątki sani rozbitych leżały wprawdzie na śniegu, adwokat atoli zniknął bez śladu.

— Sprzykrzyło mu się czekać zapewne — parobek zauważył, Anzelm jednak głową kiwał miłosiernie.

— Nie mógł przecie krokiem postąpić!... a zresztą, bylibyśmy go na drodze spotkali.

Przeszukali raz jeszcze wszystkie skał przydrożnych załomy i rozpadliny, hukali, nawoływali.... nadaremnie! o Freisingu słych zaginął. Spojrzeli jeden na drugiego w zwątpieniu rozpaczliwem i obydwaj musieli to samo pomyśleć, bo jakby na komendę, wstrzęśli się przerażeni.

— Porwała go „Dziewica z lodu!“ — wyszeptał wreszcie Anzelm w trwodze śmiertelnej, ręce pobożnie złożywszy.—Bluźnił przeciw niej, za to go żywcem z duszą i ciałem uniosła!

— Z pewnością tak mu zrobiła! — potwierdził parobek, wzrok podnosząc nieśmiało na szczyt złowrogi.

Anzelm postąpił nad brzeg drogi, szukając w parowie dokumentów.

— I papiery z nim razem zabrała! — krzyknął z nowem przerażeniem. — To coś strasznego!

— Okropność! — odezwał się parobek, niby wierne echo. Poczem wsiedli czemprędzej nazad do załubni, co tchu uciekając z miejsca zaklętego. Po drodze rozpowiadali każdemu, kto tylko chciał słuchać, jak za jego żarty bezbożne i buntowanie się przeciw jej wszechmocy, „Dziewica z lodu“ porwała żywcem adwokata i zapewne „zaklęła“ go na wieki, wtrącając do jednej z swoich pieczar niedostępnych. Taką to karę ściągają sobie na kark niedowiarki!

XVIII.

— Anna zatem była w przeszły wtorek u państwa Hoferów? Zkądże jej strzeliła do głowy ta wizyta? O ile wiem, nigdy dotąd w leśniczówce nie bywała!

W ten sposób badał ksiądz Jerzy biedną, zastraszoną Lily. Tylko co nadjechał z Werdenfels, prócz Lily nikogo w saloniku nie zastawszy. Mała Lily, jak wiemy, była nader wojennie usposobiona przeciw Wilmutowi, gdy jej znikał z oczu, w jego atoli obecności odwaga w pięty się chowała, nawet zwykły jej uporek i dość wybitna samowola, placu nie dotrzymywały. I w tej chwili nastroiła minę nader poważną, odpowiadając na grad zapytań z całą powolnością, dziwiło ją tylko, dla czego sprawozdanie o rzeczy tak prostej i niewinnej, jak wizyta oddana dwojgu staruszkom, drażni widocznie surowego i ponurego kuzyna. Drgnął jak od żmyi ukąszenia, gdy mu dzień wymieniła, a ton, w którym pytał, był tak ostry i gwałtowny, jakby szło o niewiem jakie przestępstwo.

— Anna od dawna się obiecywała rodzicom panny Emmy — zauważyła Lily. — Zawsze o tem wspominała, iż musi kiedyś wybrać się do nich z wizytą.

— I zdecydowała się tak nagle, wśród zimy? Dla czegoż ciebie nie wzięła? Zwykle ty jej wszędzie towarzyszysz.

— Chciała wziąć tym razem pannę Hofer, a w naszych sankach niema miejsca na trzecią osobę. Anna zaraz nazajutrz wróciła.

Wilmut zerwał się z fotelu i podszedł do okna, obracając się plecami do młodej kuzyneczki.

— On tam był tego dnia samego! — mruczał gniewnie przez zęby zaciśnięte. — Znowu się widzieli, znowu z sobą mówili!... wiem o tem na pewno!

Lily ośmieliła się wystąpić jeszcze z jakąś uwagą, na którą żadnej już nie otrzymała odpowiedzi. Wielce jej się to niepodobało, iż kuzyn Jerzy miesza się nawet i kontroluje wizyty, które Anna komuś oddaje, milczała jednak, ma się rozumieć, widząc księdza Wilmuta i bez tego w najgorszym humorze. Odetchnęła wolniej, zobaczywszy Annę wchodzącą do salonu.

Młoda kobieta przywitała kuzyna nader zimno, który teraz od okna się odwrócił, i ku niej zrobił

kroków kilka. Od ostatniej rozmowy w niedzielę z rana na probostwie, zaszła pewna zmiana i wielkie oziębienie między tych dwojgiem ludzi. I Wilmut nie witał się z Anną, z dawną, serdeczną poufałością.

— Przyjechałem dowiedzieć się, jak rzeczy stoją ze sprzedażą Rosenbergu? — przemówił ostro. — Wczoraj widziałem się z Freisingiem, i wspomniał mi o jakimś kupcu, którego ci zaproponował. Musiałaś zapewne przyjąć propozycję?

— Przeciwnie — odrzekła Anna najspokojniej. — Odpisałam właśnie mecenasowi, iż wsi nie sprzedam.

— Dla czego?

— Bo cena jest za małą. Wiesz, na jaki cel chcę pieniądze obrócić, a kupiec nawet mi tyle nie daje, ile tamta suma wynosi.

— To prawda, nie powinnaś jednak była tak stanowczo kupca odrzucać... Zostaw nas samych Lily, mam z twoją siostrą do pomówienia w sprawie nader ważnej.

W każdym innym wypadku czułaby się Lily mocno obrażoną, iż dotąd za dziecko ją uważają, odsuwając od każdej ważniejszej konferencji. Że jednak tutaj szło o zejście z oczu srogiemu kuzynkowi, przyjęła z radością rozkaz i natychmiast ulotniła się z pokoju.

Anna usiadła tymczasem. Była bledszą niż zwyczajnie, a jej duże, ciemne oczy, czarno podkrojone, straciły swój blask płomienisty, wyglądały jakby znużone i mgłą przysłonięte. Można było domyśleć się z łatwością, iż w tym czasie dużo łez wylały. I Wilmut był zmieniony. Nie był to już ów zimny, niewzruszony asceta, którego wzrok niby ostrze sztyletu, serce grzesznika przenikał, bo on sam wydawał się jak głaz spokojny. Dziś w całem Wilmuta zachowaniu odczuwało się dziwnie namiętne rozdrażnienie, coś nieokreślonego, a w oczach pojawiał się od czasu do czasu błysk ponury, fosforyczny, niepewny jak światło prądem powietrza poruszane. Wpatrywał się w Annę badawczo, chcąc widocznie do głębi serca ją przeniknąć.

— Życzyłbym ci jednak przyjąć propozycję — zaczął po chwili milczenia. — Kto wie, czy trafi się tak rychło inny kupiec, mogący całą sumę wypłacić odrazu. Wprawdzie nie wystarczyło by to na zapłacenie długu po twoim mężu, który musi być całkowicie pokrytym... jednak to nie wiele, które braknie, ja gotów jestem dodać z własnych funduszów.

— Ty Jerzy? — Anna wypatrzyła się na niego w najwyższem zdziwieniu. — Wiem przecie jak są ograniczone twoje dochody, szczególnie tej zimy. Oboje oddaliśmy zgłodniałym całą naszą gotówkę.

— Mniejsza o to! Moje poręczenie znaczy tyle co moneta brzęcząca. Sprzedaj tylko Rosenberg!

Słowa ostatnie brzmiały ostro i stanowczo, nie jako rada, której się udziela, ale jak rozkaz, który ma być spełniony natychmiast. Anna powoli oczy na niego podniosła, pytając nawzajem:

— Także ci wiele na tem zależy, aby mnie jak najprędzej wypędzić z Rosenberg?

Wilmut ściągnął niecierpliwie ramionami.

— Jaka śmieszna obraźliwość! Nikt cię nie wypędza, tylko radbym, żeby się raz skończyło to prowizorjum i tyś mogła zrobić plan jakiś na przyszłość. Myślałem, iż ty sama powinnabyś życzyć sobie losu ustalenia, ale widzę, że tobie wcale nie pilno.

— Przynajmniej nie chcę popsuć wszystkiego nadto wielkim pospiechem. Freising sam utrzymuje, iż majątek ma daleko większą wartość realną, a ja mam przecież rok czasu blisko do uiszczenia sumy dłużnej.

— I tak długo chcesz pozostać w sąsiedztwie Werdenfels?

— Z pewnością!

Było to jedno słowo tylko, wypowiedziane atoli tak dumnie i energicznie, iż Wilmut w wściekłym gniewie usta zagryzł do krwi prawie.

— Odpowiedź twoja jasno dowodzi, iż nie wywieram już wpływu najlżejszego na twoje postanowienia — rzekł szorstko. — I te szczególne odwidziny państwa Heferów w Felseneck, przedsięwzięłaś na własną rękę, bez mojej wiedzy. Czy mogę przynajmniej spodziewać się wytłumaczenia, co cię do tej wizyty skłoniło?

— Nie Jerzy, to sprawa li mnie dotycząca.

— A może i pana na Werdenfelsie, który tego samego dnia wybrał się do leśniczówki? Niech i tak będzie! Domyślam się tego, co chcesz przedemną utaić. Czy nie raczyła byś mi zatem wyjaśnić czegoś innego, mianowicie, dla czego baron Paweł Werdenfels koresponduje z tobą po dwa razy na tydzień, mimo, iż mu rękę twoją odmówiłaś?!

— Więc i o tem już się dowiedziałeś?! — rzuciła się Anna. — Prawda! zapomniałam o twojej tajnej policji! Tym razem atoli donos nie był dokładny. Paweł Werdenfels do mnie ani słowa dotąd nie napisał; koresponduje z Lily.

— Z Lily?! — powtórzył Wilmut tonem zdziwionym, jakby nie mógł przypuścić, żeby chciał sobie ktoś ten trud zadawać i pisywał do głupiego dzieciaka. — Ty wiesz o listów wymianie i pozwalasz na nią?!

— Pozwoliłam pod warunkiem, iż będę czytała listy obojga, co też dzieje się najregularniej. Chciałabym — głos Anny zadrżał wewnętrznem wzruszeniem, a słowa płynęły z ust jej z lekkim odcieniem rzewności — chciałabym wynagrodzić temu młodzieńcowi pierwszy jego sen złoty, który musiałam rozwiać tak prędko. Zraniłam go wtedy boleśnie i głęboko! wiem o tem, i dla tego też pragnę, aby w siostrze mojej znalazł balsam skuteczny na ranę, którą ja sercu jego zadałam.

— Pragniesz więc i spodziewasz się?... dalej!... dalej!...

— Dotąd wprawdzie baron Paweł nie oświadczył się stanowczo, jednak moją osobą rozmarzenie idealne, znika powoli, widzę to z jego listów. Dziś kocha

szczerze Lily, może nawet bezwiednie, a ona przywiązała się do niego całą siłą swojego szczerego serduszka. Oni znajdą się i nawzajem porozumieją, a ja w niczem nie przeszkodzę, tej rozwijającej się nieśmiało, z pączka obsłonek, serc ich skłonności.

— Wiadomości niesłychanie interesujące! — roześmiał się Wilmut szydersko. -— Bierzesz więc na siebie wszelką odpowiedzialność, mię nawet nie zapytawszy? Czyżeś zapomniała, że jestem Lily opiekunem, i że bez mojego przyzwolenia, związek ten nie może być zawartym?

Anna zerwała się z kanapy z twarzą chmurną:

— Dla czego nie miał by przyjść do skutku? Czy dla nazwiska, które Paweł nosi? Tak-że daleko sięga nienawiść twoja, na cały ród Werdenfelsów?!

— Dla tego, iż jest prawdziwym Werdenfelsem, dumnym i zuchwałym, nie szanującym nawet w pysze szatańskiej przykazań kościelnych i kapłana, sługi bożego! Nie chcę, aby moja pupilka i krewna, łączyła się z takim bezbożnikiem! Reprezentant linji młodszej, niczem nie ustępuje jako uczeń pojętny, mistrzowi i przewodnikowi swojemu, panu na Werdenfelsie! Słyszałaś przecie, jak mi jawnie wojnę wypowiadał. Nigdy nie pozwolę, aby Lily z takim człowiekiem szła do ołtarza!

— Ma więc i ona paść ofiarą twojej zakamieniałości i dzikiego fanatyzmu, któremu niegdyś szczęście moje poświęciłeś? — Anna zawołała gwałtownie.

— Twoje? — Wilmut odezwał się zjadliwie. — Niby to ty jesteś takim potulnym barankiem, który poszedłby ślepo za czyjemś widzimisiem! Zbrodnia popełniona, oderwała cię od barona i ta zbrodnia dotąd was rozdziela. Moją wolę byłabyś pominęła, sparta na jego ramieniu.

— Może! Te przeszkody atoli, które mnie wstrzymały, nie istnieją co się tyczy Lily, i dla tego, jeżeli Paweł zażąda jej ręki, powierzę mu z wszelką ufnością przyszłość całą tego dziecka ukochanego, mimo, iż jest twoim przeciwnikiem. Natura to dzielna i na wskróś szlachetna nad wszelkie moje spodziewanie. Wypróbowałam go. I twoja przewaga, jako opiekuna, ma pewne granice; jeżeli ja wystąpię energicznie w obronie młodej pary, potrafię wywalczyć dla nich sądowe pozwolenie!

Wzrok Wilmuta błysnął znowu przelotnie a złowrogo, gdy zwolna wycedził:

— Czyli mówiąc jasno i wyraźnie, i ty mnie wojnę wypowiadasz? Spodziewałem się już tego od chwili, skoro ten, z Felseneck na świat wyjrzał! Odmieniłaś się najzupełniej! Oplótł cię powoli po raz wtóry siecią czarów, którym oprzeć się nie możesz. Czy sądzisz, żem nie zauważył trwogi śmiertelnej, która cię pożera, odkąd usłyszałaś o niebezpieczeństwie, jemu niby grożącem?. Myślisz, że nie wiem po coś jeździła do leśniczówki? Chciałaś go przestrzedz, ubłagać aby uchodził z Werdenfels. O ile się zdaje, uczyniłaś wszystko nadaremnie, gdyż nie tylko z zamku się nie ruszył, ale zaczyna się bawić na wzór ojca, w tyrana i pana samowładnego.

— Tak! jeździłam nadaremnie! — odrzuciła młoda kobieta z dumą i zapałem namiętnym. — Rajmund ma więcej niż ja odwagi, zostaje nieustraszony, wszystkich was do walki wyzywa!

Wilmut wybuchnął śmiechem przykrym, jadowitym, rażącym uszy niby zgrzyt piekielny.

— Wzbudza więc w tobie podziw i uwielbienie ten bohater nowoczesny? Był czas, w którym nie można było wymienić jego imienia, boś zaraz drżała i bladła śmiertelnie! Dziś to imię jakby nigdy nic wychodzi z ust twoich z największą łatwością, a gdy oboje pochwycicie dłonie młodej pary, aby ślubem dozgonnym je połączyć, znajdą się zapewne i uścisną na związek trwały i wasze ręce!

Anna wzrok ku ziemi spuściła; przypomniała sobie nieszczęsne spotkanie, wstręt mimowolny, z jakim rękę wyrwała z dłoni Rajmunda, i lodowate z jego strony pożegnanie. Westchnęła, głucho szepnąwszy:

— Nie znajdą się więcej!

Jerzy bliżej postąpił, i on ścisnął jej rękę w swojej dłoni tak silnie, jakby ją chciał zetrzeć na miazgę. Wpoił w nią wzrok płonący, a głos wychodził z piersi świszczący i stłumiony, jakby mu tchu brakowało:

— Tak być musi! Nie możesz należeć do tego.... tego... Werdenfelsa!... Przestrzegałem cię wtedy, skoro odkryłem istniejący między wami stosunek, to i dziś powtarzam! Niczem winy dotąd nie zmazał, a ciężar jej spadłby i na ciebie, jeżelibyś śmiała podać mu dłoń pojednawczą. W takim razie zginiecie oboje! Nauczyciel twój i dawny opiekun, nic już dziś u ciebie nie znaczy! ale zostaje kapłan, który w Boga imieniu mówi ci: nie możesz być żoną tego człowieka!

Ze słów tych wiało ponure proroctwo, mrożąc krew w żyłach. Anna uwolniła rękę z Wilmuta uścisku żelaznego, o krok się cofając, w całej postawie nie było jednak ani lęku, ani chęci poddania się bezwarunkowego, raczej dumne, nieustraszone postanowienie.

— Czas ślepego posłuszeństwa i korzenia się przed wolą twoją Jerzy, minął bezpowrotnie. Gdybym potrafiła zapomnieć o przeszłości, nic by mnie nie wstrzymało, nawet twoja powaga kapłańska! Jest mi to niestety nie podobnem, Rajmund wie o tem i dla tego nie próbuje zbliżyć się do mnie. Nie idzie jednak zatem, iż mi nie wolno bronić szczęścia własnego, żebym nie miała walczyć i zwyciężyć w sprawie siostry mojej.. Spróbuj tylko dotknąć się dłonią niszczącą, szczęścia Lily, a ujrzysz mnie po jej stronie. Nie chcę, żeby jej dola tak się zmarnowała, jak my oboje z Rajmundem... tylko z twojej łaski!

Wyszła z salonu, nie czekając nawet na jego odpowiedź.

Jerzy ramię wyciągnął, jakby ją chciał zatrzymać, musiał jednak inaczej się namyśleć, gdyż został na

miejscu bez ruchu, z wzrokiem ponuro w drzwi utkwionym, w których zniknęła postać wyniosła i czarowna; wreszcie szepnął głucho:

— Nie tylko wasza dola się zmarnowała... jest może na ziemi ktoś od was nieszczęśliwszy!

Podczas gdy przyszłe losu koleje, tyczące się Lily, były powodem do starcia tak gwałtowego, między jej siostrą a Wilmutem, młoda dama znajdowała się w położeniu bynajmniej nie licującem z bliskiem tejże małżeństwem, przez Annę projektowanem.

Kształtną swoją główkę przystroiła bowiem hełmem olbrzymich rozmiarów, który niby ze słomy, uplotła misternie ze starych gazet. Za pióropusz służył pęk piór pawich, wydarty z jakiejś starej trzepaczki do kurzu obmiatania. W prawej ręce trzymała długie grabie, służące jej zamiast karabina, i tak uzbrojona komenderowała, ćwiczyła i manewrowała według regulaminu wojskowego, podczas gdy mały Tony, sierotka po zmarłej niedawno Mattowej, oddał jej się pod rozkazy jako rekrut dobrowolny, wiernie każdy jej ruch naśladując.

Stary ogrodnik poszedłszy na pocztę do Werdenfels, przyprowadził z sobą chłopaczka, co zresztą często się zdarzało, gdyż sierotka był ulubieńcem pani Hertenstein. Pod każdym względem gorliwie się malcem zajmowała, i właśnie dziś przyszedł się zaprezentować w nowym, ciepłym stroju zimowym, który z łaski Anny otrzymał. Dziadek nie mógł dziecku towarzyszeć, gdyż praca ciężka, którą siebie i wnuka żywił, chwili wolnej mu nie zostawiała.

Zaledwie pojawił się chłopczyna z Ignacym, panna Lily porwała go ze sobą, uszczęśliwiona tą żywą zabawką, pomocną jej do wszelkich dziecińsw i swawoli, w czem dotychczas szczerze się lubowała.

Wsadziwszy chłopcu na głowę drugi egzemplarz hełmu na prędce zaimprowizowanego, igrała z nim czas jakiś po ogrodzie, gdy jednak powietrze okazało się nadto mroźnem i wietrznem, schronili się oboje do dużej, nad drogą zbudowanej altany, w lecie służącej za salę jadalną, w zimie za skład narzędzi ogrodniczych, i tam wyszukawszy sobie dwie pary grabi, rozpoczęli na dobre ćwiczenia wojskowe.

Tony okazywał pod tym względem zdolności genjalne! W marszu trzymał takt doskonale, w lot pojmował i wykonywał zwroty rozmaite, ku wielkiej uciesze młodziutkiego komendanta.

Altana stała na małym pagórku, a po pod nią szła drożyna, z gościńca murowanego, prosto do pałacyku w Rosenberg prowadząca, po której toczył się w tej chwili elegancki, odkryty faeton, powożony, o ile się zdawało, przez samego właściciela powozu. Obok małego *automedona*, siedział starzec siwiuteńki, w ciemnej liberji. Niedaleko od domu, młody człowiek, jakby się wahał, coraz konie w galopie wstrzymywał, aż wreszcie całkiem wolno pod pagórek podjechał.

Był to Paweł, który najchętniej tą drogą, chociaż o wiele gorszą i pełną wybojów, zwykł był jeździć do Buchdorf, aby tylko choć zdaleka spojrzeć na Rosenberg ukochany. Dotąd nie udało mu się spotkać którejkolwiek z dam, pałacyk zamieszkującej; dziś, los mu sprzyjał widocznie, bo gdy przejeżdżał koło altany, obiła mu się o uszy wesoła i głośna komenda Lily, przerywana śmiechu wybuchami, i lubym dziecinnym szczebiotem.

Znał ten głos i ten śmiech srebrzysty, kiedy towarzyszył wtedy jeździe przymusowej z góry na dół, gdy się tak fatalnie ziemia usunęła pod jego nogami. Nie namyślał się długo. Pani Hertenstein wie o korespondowaniu z nim siostry, może więc sobie pozwolić niespodzianki.

— Masz tu lejce Arnoldzie! — skoczył raźno z wózka. — Pójdę tylko na chwilę z paniami się przywitać... Zaczekasz tu na mnie.

Otworzył bramkę do parku prowadzącą, którą na szczęście zastał tylko przymkniętą i wszedł, dążąc prosto do altany.

Lily na czele swojej siły zbrojnej, wykonywała właśnie marsz niesłychany w jakiemś tempie *furioso*, komenderując przy tem głośno, gdy nagle głos jej zamarł w piersiach, nogi wrosły w posadzkę. Przed nią stał Paweł, mierząc okiem zdziwionem hełm papierowy i grabie olbrzymie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JULIUSZ DONNÉ.

(Dokończenie.)

IV.

Juliusz oniemiały wyczytanem wyznaniem, konwulsyjnie ściskał dziennik Zuzanny. Cóż miał teraz robić? Życie, jakie dotąd prowadził, było nadal nie możliwem; widok Berty doprowadziłby go do ostateczności. Chciałby ją zgnieść, zamordować, by nie stała na przeszkodzie dochowaniu wiary Zuzannie... a ojciec? czyżby mógł na niego patrzeć spokojnie? ojciec, który dla osobistych planów zniszczył jego szczęście, zabił Zuzannę niewinną ich ofiarę, niech dobije też i jego! I po raz pierwszy synowska miłość w formalną przemieniła się nienawiść! Wstał, uporządkował papiery, zrobił testament, w którym Bertę uczynił spadkobierczynią swego dziedzictwa i położył na nim dawniejszą datę, by nie wzbudzić żadnego podejrzenia. W końcu wziął dziennik Zuzanny, chcąc go zniszczyć, lecz na to sił mu zabrakło; postanowił go wziąść ze sobą, by z nim razem zniknąć gdzieś na świecie! Otworzył już drzwi do wyjścia, gdy oko w oko spotkał się z swym ojcem.

— Gdzie idziesz Juliuszu tak wcześnie, taki zmieniony?

— Puść mnie ojcze! — rzekł Juliusz z wyrazem niecierpliwości. — Puść mnie! mam gorączkę i ochłonąć z niej muszę!

— Co się stało? powiedz? — nalegał ojciec — gdzie idziesz?

— Odetchnąć nad morze!

— Juliuszu, zaklinam cię! powiedz co się dzieje? Ukrywasz przedemną jakąś tajemnicę, której odgadnąć nie mogę. Jakieś przeczucie sprowadziło mnie tutaj, gdy słyszałem twe kroki nad głową. Powiedz gdzie szedłeś i co ci dolega? Czyż nie mogę nic dla ciebie zrobić? nic poradzić tobie, którego kocham nad życie i chciałbym widzieć szczęśliwym? Juliuszu mów!

— Pani Valmor już nie żyje! — rzekł głuchym głosem Juliusz.

— Pani Valmor?... jakto? kiedy?

— Tyś ojcze ją zabił! Mów! mów dlaczego to zrobiłeś? Pragnę pomścić jej śmierć, by potem umrzeć także! Mów więc ojcze, co cię do tego skłoniło, by poświęcając życie tej kobiety, mnie zamknąć w więzach małżeństwa tego, którem się brzydzę? Mów ojcze, bo mi się zdaje, że cię znienawidzę!

— Juliuszu, uspokój się! — zawołał pan Donné. — Przypomnij sobie, jaką miłością otaczałem cię od najmłodszych lat. Zastanów się, że wyłącznie dla ciebie żyłem i że w zamian mam prawo wymagać poświęcenia od ciebie! A jakaż zresztą inna wina cięży nad Bertą, prócz tej, że cię kocha? Juliuszu opamiętaj się!

Juliusz stał nic nie widząc, niemy i głuchy, a pan Donné z rozpaczą ręce łamał.

— Jesteś wolny! — zawołał w końcu ojciec — pamiętaj jednak, że mojem równie jak swojem rozporządzasz życiem!

— A jeśli żyć będę, czy potrafisz mi ją zwrócić ojcze? Czy jesteś wstanie pojąć, czem ona była dla mnie? Czy wiesz co to znaczy kochać? O nie! bo gdybyś wiedział, nie dopuściłbyś się tej zbrodni, której ani ty ani ja odpokutować nie będziemy wstanie! Myślałeś, że ta miłość moja, to chwilowa mrzonka, że jak z oczu zejdzie to i z serca, i że potrafię odżyć w nowej miłości! Dlatego to poszedłeś do niej, nie bojąc się jej obrazić, i podsunąłeś jej ten ohydny plan! I ona kochając mnie, by cię zadowolnić, wyparła się tej miłości, bez której żyć nie mogła! O, ja temu nie wierzyłem! Ale cóż miałem robić? Nie mogąc jej zmiękczyć, postanowiłem ciebie zadowolnić, a ty uknuwszy wpierw projekt, podsunąłeś mi to dziewczę bez żadnego wyrzutu sumienia, że nową robisz ofiarę? O ojcze, ciężkiemi wyrzutami obarczyłeś twe sumienie! A teraz popatrz co zrobiłeś jeszcze: znieważam cię, poniewieram tobą, a ty nie śmiesz nawet przywołać mnie do opamiętania, bo wiesz, że to ten jeden twój szalony krok, zasiał we mnie tyle złości i gniewu!

— Juliuszu, na miłość Boską, milcz! Cóż za straszną zgotowałeś mi nadgrodę, za to, że chciałem cię widzieć szczęśliwym!

— Mów ojcze, dlaczego to zrobiłeś?! — wołał Juliusz patrząc osłupiałemi oczyma.

— Postaw się w mem położeniu Juliuszu. Gdybyś miał syna — mówił cicho pan Donné — pragnąłbyś naturalnie dla niego największego na świecie szczęścia, a sądząc podług siebie, szukałbyś dla niego tego, co tobie było najmilszem i za czem tęskniłeś, gdy ci tego brakło. A że twoje jedyne szczęście było przy żonie, którą ubóstwiałeś, temu więc ukochanemu synowi, wyszukujesz żonę miłą, dobrą, kochającą jak Berta!

— Ależ ojcze!...

— Chcesz mu utworzyć domowe ognisko — mówił dalej pan Donné — chcesz go otoczyć dziećmi, rodziną, by doznał tych samych roskoszy, przez które ty przechodziłeś; — nakłaniasz go do tego, lecz nadaremnie! W końcu czując się starym, wzdrygasz się na myśl, że zostawisz to ukochane dziecko same jak palec na świecie; energiczniej więc bierzesz się do rzeczy i przekonujesz się, że twój syn kocha na swe nieszczęście kobietę zamężną, równie piękną jak szlachetną; — udajesz się więc wprost do niej, błagasz ją, by ci powróciła syna i nie wątpisz, że prośba twa będzie wysłuchaną. — I rzeczywiście ona, wspaniałomyślna i mężna, bez jednej łzy, jednej skargi, rozcina węzeł, który ją łączył z twym synem!

— Ojcze! i ty śmiałeś pójść do niej z takiem żądaniem? — mówił Juliusz namiętnie. — O Zuzanno, jedyna, którą kochałem, czemuż uległaś! — i biedny Juliusz wybuchł głośnem łkaniem.

— No a Berta? — zapytał pan Donné.

— Berta? nie wymawiaj ojcze nawet tego imienia! Czy myślałeś, że ją kochałem kiedykolwiek i że dziś kochać ją jestem wstanie? Uczyniłeś mnie wobec niej stokroć występnym, bo wtedy, kiedy brałem ją w swe ramiona, przysięgając miłość wieczną, wtedy obraz tamtej stawał mi więcej niż kiedykolwiek przed oczyma, i miłość dawna silniej się jeszcze odzywała! Czyż pozostaje mi teraz co innego, jak szukać śmierci?

— Jeśli ty zginiesz, ja zginę! — zawołał pan Donné. — Powiedziałem ci to na wstępie, a pamiętaj, że co raz powiem, to dotrzymam!

— Kiedy tak, to dalej ten nędzny żywot ciągnąć trzeba!

— Przysięgnij! — nalegał pan Donné.

— Przysięgam, lecz natychmiast wyjadę! Widoku was obojga znieść bym nie mógł!

— Jesteś wolnym! Przysięgi przecież nie złamiesz!

V.

Od czterech miesięcy Juliusz przebywał na Wschodzie. Przygnębiony i zniechęcony wyjechał, by w ciszy i samotności, dowolniej jeszcze żyć dawnemi wspomnieniami, z których ani na chwilę wątku stracić nie chciał. Żal jego i ból się nie zmniejszyły, to pewne jednak, że nienawiść i gniew, jakie wywoził na sprawców swych cierpień, po trochu w litość się zmieniły.

Im więcej się oddalał, im dłużej się ta podróż przeciągała, z tym większym interesem myślał o ojcu i Bercie; co więcej nawet, pomału niepokoić się zaczynał, że oni biedni, bez wieści o nim, gorączkowo żyć muszą myślą, czy też i kiedy powróci!

Tak mijał tydzień za tygodniem. Po długiem w końcu

milczeniu, odszukał go list od ojca pisany przed kilku tygodniami. Był on następującej treści:

„Kochany Juliuszu!

„Ostateczny już czas nadszedł, byś wiedział o zaszłej zmianie, która nad wyraz powinna cię obchodzić, na wyraźne i usilne jednak żądanie Berty, musiałem ci ją taić do tej chwili. Gdy odjeżdżałeś, Berta miała już nadzieję zostania matką upragnionego dziecięcia, zataiła to jednak przed tobą, by nie zachwiać cię ani na chwilę w powziętym projekcie wyjazdu, bo biedne dziecko, swem kochającem sercem przeczuwało tajemnicę boleśnego jakiegoś wypadku, który wydzierał cię jej na tak długo! Dziś jednak byłoby zbrodnią taić przed tobą dłużej tę wiadomość, która powinna cię sprowadzić tu, gdzie cię powołuje głos obowiązku, kiedy nie pozwalasz powiedzieć: szczęścia!“

Nazajutrz po otrzymanym liście Juliusz powracał do domu. Pierwszy raz od tak dawna zapuszczał się z przyjemnością myślą w przyszłość, bo życie jego odtąd miało cel i nadzieję lepszych chwil! Jakąż jednak nie do opisania za powrotem znalazł zmianę w Bercie, bladej i schorzałej. Z tego trzpiota, którego pozostawił, zrobiła się kobieta dojrzała i mężna, wyrobiona cierpieniami jakie przeszła. Po raz pierwszy w życiu poznała ona co to cierpienia moralne, bo wśród i tak już ciężkiej jej boleści dowiedziała się o tej miłości, która dotąd była dlań tajemnicą. Zniosła to wszystko jednak mężnie i z siłą ducha, w nadziei, że gdy Juliusz powróci, za to lepiej go znać i rozumieć potrafi. Zdawało jej się, że moralnie dorównać mu zdoła!

I tak też rzeczywiście było. Juliusz z innem powrócił usposobieniem, a litując się nad tem biednem stworzeniem, uginającem się pod ciężarem doznanych przejść oraz swego macierzyństwa, był dla niej dobrym, delikatnym i ojcowską otaczał ją opieką.

W końcu chwila rozwiązania nadeszła dla biednej Berty. Przejście to było dla niej fatalne w swoich następstwach, przez dwa tygodnie bowiem nie było żadnej nadziei, by ją uratować można. Zmartwienia, które ją można powiedzieć trawiły, przez cały czas nieobecności Juliusza, a które ona tak starannie ukrywała przed wszystkimi, sprawiły, że sił fizycznych jej zabrakło do tej krytycznej chwili. Pan Donné poinformowany od doktora o niebezpieczeństwie, z źle ukrytym wzruszeniem poszedł do Juliusza.

— Czy wiesz — rzekł po namyśle — że musimy się przygotować na straszny cios? Doktor powiada, że już zaledwie cień nadziei mieć można!

Juliusz zbladł, a pan Donné zastanawiał się nad tem, czy miałby dopiero teraz ją pokochać, kiedy widzi, że rozstać się z nią będzie musiał?

Przepowiednie doktora okazały się jednak mylne. Młodość przeważyła nad chorobą i Berta powoli do sił powracać zaczęła, a Juliusz najtroskliwiej i najserdeczniej chodził koło tej biedaczki, którą opieką i staraniem chciał wyrwać śmierci. Ona zaś, jakkolwiek dotąd go kochała, teraz więcej jeszcze do życia się rwała, bo czuła, że odtąd lepiej się znać i kochać nawzajem potrafią!

Nowe obowiązki, w połączeniu z nowemi źródłami radości i szczęścia, otwierały się przed Juliuszem. Odtąd też nieopuszczał prawie pokoju, w którym Berta przychodziła do sił, a dziecina budziła się do życia. Chodził też od jednego do drugiego, to biorąc wychudłą i znędzniałą rękę żony, to znów zaglądając pod firanki kołyski, by w pierwszej zaraz chwili przebudzenia zaspokoić wszystkie żądania ukochanego synka. Całe jego życie skupiało się teraz w tych dwóch istotach tam przebywających, a obok dawnej niezagojonej rany, wyrobiło się inne przywiązanie, równie wielkie, ale spokojne, jedno z tych, które doznać może tylko zbolała dusza, pojąca się szczęściem tem, jakie umie roztoczyć w koło siebie.

Teraz Berta wstawać już zaczęła. Oparta na ramieniu męża przechodziła do szezlonga, a tam biorąc na kolana synka, pieściła go bez końca, płacząc i śmiejąc się na przemiany.

Pewnego też dnia Juliusz odprowadził żonę do fotelu, a sam poszedł do kołyski, i biorąc dziecko na ręce, przyciskał je do serca, wpatrywał się w nie, jakby wzrokiem chciał mu opowiedzieć dzieje własne.

— Jakżeż słodkie będzie nasze życie — szeptał doń półgłosem—jak łatwą i miłą będzie dla mnie praca! A gdy ty podrośniesz, będę cię wspierał radą, będę twą podporą, byś nie odpokutował zbyt srogo niedoświadczenia młodości! Gdybyś jednak mój biedaku, utopił swe serce w miłości, to wobec tego niestety bezsilnym będę! Chyba tyle, że wpierw będę się starał wlać w ciebie serce ze spiżu, nie obojętne lecz silne, nie egoistyczne lecz dobre, przywiązane i dobroczynne! — I gdy tak dalej mówił z oczami łez pełnemi, Berta przyszła i oparła swe czoło o usta jego.

— Zazdrośną jestem! — szepnęła. — Więcej kochasz malca odemnie!

A Juliusz wyciągnąwszy drugie wolne ramię, przycisnął ją do siebie.

— Nie — odrzekł — nie kocham go więcej, gdyż oboje zarówno panujecie teraz w mem sercu wszechwładnie!

KONIEC.

Jan Marcel.

NIEBEZPIECZNA.

(Ciąg dalszy)

Odpowiedział najgrzeczniej, ale nader dyplomatycznie i wahająco: „Na wdzięczność nie zasługuje, spełnił bowiem swój obowiązek. W interesach będzie zawsze na rozkazy pani Vauquelin, nie ma atoli czasu na wizyty dla przyjemności.“ Kasia była niemile zdziwiona i zawiedziona. Była przecież wolną zupełnie. Czemuż by nie miała wynagrodzić teraz sowicie poczciwemu

kuzynkowi jego miłość skrytą i przysługę uczynioną? Wszak był dotąd nieżonatym, nikogo by więc stosunkiem wzajemnym nie skrzywdzili. Zabolało ją, iż odrzuca nagrodę, którą już dla niego w myśli nagotowała. Co ją ostatecznie do rozpaczy przywodziło, to powód łatwy do odgadnienia skrupułów Alfreda. Nie chciał być ani godziny kochankiem kobiety bogatej, a czerpiącej to bogactwo, ze źródła dość co prawda mętnego. Lękał się posądzeń najhaniebniejszych, którym podpadają nieuchronnie przyjaciele od serca, istot wykolejonych na wieki, kobiet dziś czy wczoraj utrzymywanych.

Tak więc na pierwszym zaraz kroku, lady Karolina napotkała na przeszkodę, któremi bywa najeżona każda sytuacja fałszywa i nie dająca się wytłumaczyć należycie. Mimo wielkiej fortuny, nie mogła zostać ani prawdziwą Zuzanną, ani poczciwą matką rodziny, a z drugiej strony pamięć szlachetnego dobroczyńcy, sir Ryszarda, nie pozwalała jej puścić się na ślizką drogę pospolitych miłostek, kobiety zupełnie upadłej. Nie brakło jej innych jeszcze wskazówek. Dnia pewnego, gdy opuściwszy jeden z licznych w Luwrze magazynów, miała wsiąść do remizy wynajmowanej tygodniowo— jedyny przepych jakiego sobie dotąd pozwalała— zetknęła się oko w oko z Vauquelin-Vaucher'ami.

Na wązkich ustach stryja, pojawił się uśmiech pogardliwy. Z kapeluszem trochę na bakier, z okularami na nosie, wpatrywał się w młodą kobietę z miną impertynencką człowieka, który nie chce się ukłonić, ale pragnie aby wiedziano, iż poznaje osobę doskonale. Co do pani Vauquelin-Vaucher, jej nosek perkaty zaczął się rozdymać jak u wyżła, gdy ptaka wystawia, a małe, bure oczka, świeciły blaskiem fosforycznym zdziwienia i zazdrości najstraszniejszej. Kasia głowę odwróciła. Czuła, iż jest celem jednocześnie ich podziwu i najwyższej pogardy. Gdy zdołała uspokoić się cokolwiek, powiedziała sobie: iż co do rodziny, z tą trzeba zerwać na zawsze.

Choćby ich złotem obsypała nie przebaczą, wstydu, który przez nią spłynął i na jej najbliższych.

Mogła zostać dobrodziejką krewnych ubogich, ale mimo to będzie wiecznie ich hańbą. Jedną dłonią przyjmowali by jej dary, a drugą wycierali miejsce, którędy przeszły. Zresztą nie byłaby w tej roli naturalną, gdyż by jej brakło łatwowierności, aby ją dobrze odegrać. Wiecznie stałby jej przed oczami kontrast nadzwyczajny a ciekawy: postawa pogardliwo-wyzywająca stryja, i mina żebracza fałszywo-pokorna jego żony.

Ten podwójny wypadek: odpowiedź Alfreda, iż nie może ją odwidzać i niechęć widoczna przyjmowania za trudy poniesione z pięknych rączek kuzynki słodkiej a zasłużonej nagrody, i traf, który ją sprowadził ze stryjostwem, skłoniły młodą kobietę do kroku stanowczego. Musi dać nura jako Katarzyna Vauquelin, i wypłynąć na świata powierzchnię jako miljonowa Lady Karolina. Czemu by nie miała mieszkać w własnym pałacu? Za dwakroć sto tysięcy franków nabyła willę na ulicy Villers, cacko roskoszne.

Porzucał willę Anglik znudzony cackiem, jak i resztą świata, po kilku miesiącach używania i mieszkania w prześlicznym pałacyku. Za sześćdziesiąt tysięcy franków nabyła meble, stajnię i powozy. Koroną dzieła było zatrzymanie całej służby...

Od dziś do jutra, z wprawą i największą łatwością, personal służbowy nazywał ją milady na wyścigi. „Milady!“ jak dalej?... nie umieliby byli odpowiedzieć, nie wiele się atoli o to troszczyli. Gdy pokojowa, z Anglji sprowadzona, ośmieliła się o tę kwestję zaczepić z ogródka, usłyszała tych słów kilka, wypowiedzianych tonem ostrym i stanowczym:

— Lady Karolina dla was... i dla wszystkich zresztą!...

Pokojowa w lot zrozumiała na sposób angielski, najlepszy, bo potrafi obejść się bez długich komentarzy, żeby rozkaz wykonać.

Raz wchodząc do złotnika w *Palais-Royal*, miała Lady Karolina nader miłą niespodziankę. Spotkała się z Blanką d'Aligny, ubraną paradnie, nawet z elegancją trochę przesadną, z ową nauczycielką z Saint-Denis, która służyła jej za pośredniczkę w korespondencji tajemnej z pułkownikiem Delange. Dwie od serca przyjaciółki straciwszy się z oczu, jakoś nawzajem o sobie zapomniały. Lekka jednak Blanki uraza i żal do Kasi, nie dotrzymały placu w obec żywej chęci pochwalenia się przed nią z obecnem świetnem stanowiskiem, dawnej ubożuchnej nauczycielki.

— Musisz ze mną pojechać! — porwała Kasię pod ramię impetycznie. — Zobaczysz jakiemi bogactwami obsypał mnie mój książe!

W rzeczy samej, Księżniczka lazurowa *in partibus*, ułowiła sobie księcia prawdziwego, w jednym z domów na *Faubourg Saint-Germain*, w rodzinie nader arystokratycznej, gdzie popasała czas jakiś jako nauczycielka, zuudziwszy się decydująco życiem jednostajnem w zakładzie. Lady Karolina, znalazła przepysznem całe Blanki urządzenie, zastosowane zupełnie do ich rojeń o czarownej przyszłości...

— A cóż się stało z resztą naszych koleżanek? — spytała? — Czy i one marzenia swoje urzeczywistniły?

Blanka głową skinęła potwierdzająco:

— Zobaczysz je tutaj, Irmę... Noemi... Łucja i Franceska trochę z nami na bakier... One dwie znowu szukały powodzenia i szczęście znalazły na deskach teatralnych.

— Ah! — szepnęła lady Karolina z silnym w twarzy rumieńcem — radabym z serca całego uściskać moje kochane towarzyszki... tylko że...

— Tylko co?

— Lękam się być poznaną... Właśnie zmieniłam nazwisko...

Księżniczka lazurowa parsknęła śmiechem szalonym, wijąc się niemal w spazmach po otomance wybitej pyszną, perską materją.

— Dobraś sobie! niezrównana! Czy sądzisz, że choć

jedna z naszych przyjaciółek, występuje pod nazwiskiem rodzinnem?... Ha! ha! ha!... możeby jeszcze zawiesić portrety antenatów w ich alkowie? Przyznaję, iż byłoby w tem coś wspaniałego! majestatycznego!... Tylko miałoby to i strony ujemne, byłoby częstokroć nie bardzo wygodnem... Irma Truffault naprzykład, jest w stosunku najściślejszym z baronem Dertrich, właścicielem nominalnym pułku austryjackiego, z wąsami koloru świeżego masła, a z czupryną jeszcze jaśniejszą, niby dobrze oczyszczona łojówka. Wyobraź sobie barona, nos w nos, z portretem papy Truffault, który jako major dowodził pod Solferino! Czyż by taki widok nie pozbawił snu Niemczyka?... Może by się nawet bał położyć!... Żywioł obcy, duszko, pochłania nas powoli ni to przypływ morza... trzeba ich ugrzeczniać, ugłaskiwać, ratując o ile możności godność narodową... Zenia nosi więc nazwisko... Ja zostałam Księżniczką lazurową... Irma nazywa się obecnie baronową d'Accifeld, Ludwika Grandmanche hrabiną Ville-d'Avray, Noemi Dulud panią Noemi po prostu. Nie wiem dla czego pogardziła tytułem, o który nam tak łatwo przecie!... podnieść z błota tylko... i rzecz skończona!... Nikt nas się nie spyta o papiery legitymacyjne... Co do Łucji i Franceski, sięgnęły po nazwiska do repertoaru teatralnego, jedna jest d'Amfreville, druga de Montreui

Znowu gorżko się rozśmiała.

— Ah! nasze prawdziwe nazwiska?!... czemu nie odrazu krzyże legji ojców naszych?!...

Nagle zadrżała, rzuciwszy okiem na zegar, wskazujący pół do dziesiątej.

— Słuchaj no, moja piękna! chcesz widzieć mundur z Saint-Denis?...

Kasia zdziwiona, odrzekła niemal z rozrzewnieniem:

— Zatrzymałaś go zatem?

— Ależ tak!.... chodź tylko!...

Zaprowadziła lady Karolinę do małego pokoiku i odsłoniła firankę.

— Widzisz!.. nie braknie niczego.

W rzeczy samej, na eleganckiem wieszadle, ujrzała mocno nafałdowaną spodnicę, stanik z małą baskiną na lalce rozpięty, wreszcie na poduszce aksamitnej świeciła wstęga legji honorowej.

Kasia powtarzała z zachwytem:

— Wszystko jest!.,. wszystko!

— Poczekaj no!... zaraz na mnie zobaczysz.

Rozpięła suknię aksamitną, bogato frenzlą z dżetem czarnym, ugarnirowaną i stanąwszy przed źwierciadłem, które wiernie odbijało całą jej postać pulchniutką, i ciało przezierające niby gaza biała, różowym atłasem podszyta, przez koszulę batystową, koronkami prawdziwemi obszywaną, zaczęła nakładać na siebie strój urzędowy, damy przewodniczącej w Saint-Denis.

— Może ci pomódz? — spytała śmiejąc się Kasia.

— I owszem! Nie przeszkodzi nam w poufnej gawędce pokojowa.

Za chwilę była gotową. Fryzura tylko nie licowała co prawda ze strojem poważnym. Niesłychanie wykwintna, spadała na czoło mnóstwem kędziorków artystycznie rozburzonych. Jednem grzebienia pociągnięciem Księżniczka lazurowa rozdzieliła włosy nad czołem splątane na dwie równe połowy, przygładziła szczotką w dwa pukle, niby jasne skrzydełka twarz okalające, a zwracając się do Kasi:

— Oto mnie masz!... taką być zawsze muszę dla mojego księcia... taką kocha mnie tylko!

Z suknią i wielką wstęgą legji, przybrała i dawną minkę skromną z oczami spuszczonemi, a mimo to pełną dumy i pewności siebie.

Kasia aż ręce złożyła z nabożeństwem.

— To! to!... całkiem tak, jak dawniej było!... O całe lat pięć mnie odmłodziłaś... Zdaje mi się, iż cię widzę przechodzącą wzdłuż klasy naszej, z linją w dłoni.... Mój Boże! były to dobre czasy!

— Oh! prawda, prawda! — powtórzyła księżniczka. — Nie miałyśmy własnych pałaców i ekwipażów na rozkazy, ale byłyśmy niewinne... cnotliwe!...

— Pewnie, żeśmy były cnotliwe! — odezwała się Kasia, niby wierne echo — o niczem złem nie myślałyśmy wtedy, modliłyśmy się szczerze, rano i wieczór... Modlisz ty się jeszcze kiedy?

— Czasem... No! rozumiesz... częstokroć byłoby zbyt niewygodnem... jeżeli jestem samą przypadkiem, odmawiam zawsze pacierze.

Kasia nie mogła od Blanki wzroku oderwać, i powoli oczy jej zwilgotniały. Wspomnienia lat dziecięcych, lat spokojnie spędzonych, w ciszy niemal klasztornej, chwytały ją za serce, rozgrzewały łono, chociaż nie umiała sobie zdać sprawy, co tutaj przeważało, instynkta złe czy popędy szlachetne? I Księżniczka zdawała się być głęboko wzruszoną, i w niej odzywało się coś, jakby sentymentalność, z której bądź co bądź, nawet kobiety z gruntu zepsute, nie mogą wyleczyć sie radykalnie.

Lady Karolina wróciła do domu dziwnie rozstrojona. Odwidziny dawnej nauczycielki, odnawiając w pamięci przez pół zatarte obrazy, sprawiły jej zrazu miłe uczucie, które jednak zmieniło się powoli w gorżkie rozpamiętywanie nad jej obecnem położeniem, w pałacu, przy ulicy Villiers. Szczerość pozorna w przyjęciu, poufalność koleżańska, z którą Blanka w obec niej występowała, skłoniły ją do częstszych wizyt.

Wkrótce niemal czuła zażyłość panowała między dwiema „wykolejonemi." Lady Karolina zwykła była przyjeżdżać koło drugiej z południa, gdy Blanka pozbywała się wreszcie po drugiem śniadaniu swojego księcia, i razem lasek buloński zwiedzały. Trafiało się często, gdy miały wsiadać do powozu, nadchodziła jedna z dawnych koleżanek, dziś czystej krwi „kokotka" Irma, Ludwika lub Noemi. Jechały wtedy wszystkie razem, kazały się wieść do pawilonu *Armenoville*, tam zjadając biszkopty, maczane w *Maderze* lub lody, opowiadały sobie na wyścigi anegdotki i skandaliki wielce dekoltowane.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.